

Ślimak, ślimak, wystaw rogi

kurier Poranny

Nr 158 (13 VII). Cena 2,10 zł

Dziesiątki milionów ślimaków urodzonych w Oldrzychowicach co roku rozjeżdża się po całym świecie. – Sprzedajemy na zachód, na wschód i na południe. Ale zawsze na końcu tego łańcuszka znajduje się Francuz – śmieją się polscy hodowcy.

Nad hektarowym polem rozwieszona jest zielona siatka, pod którą z daleka widać tylko rośliny z dużymi liśćmi. Gdy podejść bliżej, można dojrzeć setki, jeśli nie tysiące zbitych z desek tablic ułożonych jedna koło drugiej, wprost na ziemi. Dopiero gdy je uniesiemy, pokazują się całe stada przyklejonych do drewna mięczaków. Tak wygląda pastwisko jednej z trzech największych w Polsce ferm ślimaków.

Skąd ślimaki na oldrzychowickim polu? Matką wynalazku okazała się potrzeba.

– Rynek handlu się kurczy, tym coraz mniejszym ciastkiem dzielą się duże firmy i korporacje, a dla niewielkich przedsiębiorstw, takich jak my, miejsca jest coraz mniej – mówi Robert Nabrdalik, jeden ze współników działającej w Oldrzychowicach (gmina Lewin Brzeski) spółki Helixia. Nazwa nie jest przypadkowa: *helix* to po łacinie ślimak.

– Dotychczas każdy z czterech współników jakoś funkcjonował, ale z coraz większym trudem. Dlatego usiedliśmy i powiedzieliśmy sobie: spróbujemy sobie wypracować taką drugą nogę, na której można byłoby oprzeć biznes – dodaje Robert Nabrdalik.

Jeden ze współników, Andrzej Mirossora, zaproponował hodowlę ślimaków.

– Zaczęliśmy szperać w internecie i okazało się, że informacji za wiele nie ma – wspomina hodowca. – I to była dobra informacja! Sygnał, że na rynku istnieje jakaś nisza. Krok po kroku zdobywaliśmy wiadomości i zorientowaliśmy się, że w krakowskim Instytucie Zootechniki jest naukowiec specjalizujący się w badaniach nad ślimakami.

Opolanie wybrali się do profesora i usłyszeli to, co chcieli:

– Łatwo nie jest, ale da się zrobić.

Ślimak pasie się na desce

To było trzy lata temu. Dziś mają jedną z trzech największych w Polsce ferm ślimaków z halą rozrodu, chłodniami, wylęgarnią, pomieszczeniami obróbki jaj i laboratorium. Ale droga do niej była długa i usiana błędami.

Najpierw trzeba było zainwestować. Pan Robert nie chce zdradzać liczb, ale uchylając rąbka tajemnicy, wspomina o sześciocyfrowych kwotach.

– Ale to dlatego, że od początku działaliśmy na wielką skalę oraz przy zastosowaniu nowoczesnych technologii: elektronika, sterowanie klimatem w hali reproduktorskiej – podkreśla.

– Można przecież zacząć od niewielkiego gospodarstwa i z roku na rok stopniowo powiększać hodowlę, nie inwestując od razu wielkich kwot – dodaje Ewa Burdykiewicz z biura spółki.

– Szczególnie że każdy na wsi czymś dysponuje, jakimś budynkiem, który można przystosować, jakimś kawałkiem pola, którego już nie trzeba kupować, jakimiś materiałami, np. deskami na pańniki – wylicza właściciel fermy. – Może to brzmi trochę kuriozalnie: deski na pańniki dla ślimaków. Ale my potrzebowaliśmy siedemnastu tysięcy pańników, każdy o powierzchni jednego metra kwadratowego. To oznacza wyparkietowanie półtora hektara pola, deska przy desce.

Szczęśliwie dla stawiających pierwsze kroki hodowców ślimaków jeden ze współników wrócił po emigracji ze Stanów Zjednoczonych. I wyliczył, że fermę da się zbudować taniej, wykorzystując jego możliwości z USA, skąd można spro-

Przepis na ślimaka po burgundzku

- 1 puszka ślimaków w sosie własnym
- 1 czerwona cebula
- kilka ząbków czosnku
- trzy łyżki masła
- natka pietruszki, sól, pieprz
- muszle ślimaków lub foremki na ślimaki

Sposób przygotowania

Cebulę, czosnek i natkę pietruszki drobno posiekać, dodać przyprawy, dobrze wymieszać z miękkim masłem do uzyskania jednolitej masy. Do każdej muszli lub foremki włożyć trochę masła z przyprawami, a następnie osączonego z zalewy ślimaka. Dopełnić masłem. Piec w piekarniku ok. 20 minut, w temperaturze 160 st. C.

wadzić o połowę tańsze materiały. Okazuje się, że z Ameryki opłaca się sprowadzać nawet drewno.

Potem trzeba było zdobyć ślimaki. A dokładniej – stado reproduktorskie.

– Kraków, owszem, takie posiadał, ale nie było ono na tyle duże, żeby mógł się nim dzielić – wspominają hodowcy.

Po ślimaki wybrali się więc – a jakże – do Francji. W okolicach Awinio-



Fot. AP/Fotolink/East News

nu zdobyli znajomości, nawiązali kontakty i sprowadzili pierwsze stado wyjściowe.

Trzeba podpatrywać naturę

Żeby mieć pojęcie o skali przedsięwzięcia, warto poznać liczby. Tysiąc kilogramów, czyli tona ślimaków, to około 60 tysięcy sztuk. A jeden ślimak w okresie rozrodu znosi do 500 jaj.

Tak rozpoczęła się hodowla. Korzystając z opieki profesora i zdobywając strzępy informacji u innych, bardzo tajemniczych w tej kwestii hodowców, opolscy biznesmeni rozkręcili interes, nie ustrzegłszy się jednak błędów.

– Popelniliśmy ich dużo – przyznaje Nabrdalik. – Nikt nas za rękę nie mógł poprowadzić, więc ta nauka okazywała się kosztowna, bo cykl produkcyjny ślimaka trwa rok i tu nie ma miejsca na poprawki. Jak coś się zepsuje na pierwszym etapie, to ciągnie się to za tobą do samego końca.

Tak było m.in. z kondycjonowaniem, czyli przechowywaniem jaj w chłodnym pomieszczeniu. Pierwsze złożone jaja muszą czekać na kolejną partię, żeby jak najwięcej młodych wykuło się w jednym czasie i by na pole trafiły ślimaki jednakowej wielkości.

– A był moment, że duża partia ślimaków przeziębła nam się w chłodni i potem trudno było nadrobić tę stratę – dodaje pan Robert. – Ale na szczęście reproduktory mieliśmy dzielne, francuskiego pochodzenia, i dawały radę.

Kluczem do sukcesu w hodowli jest próba zrozumienia tego, co się dzieje w naturze.

– Jeśli ślimak w danej temperaturze zasypia na drzewie lub elewacji budynku u kogoś w ogródku, to żeby uśpić ślimaka handlowego, trzeba mu stworzyć identyczne warunki – tłumaczy hodowcy z Oldrzychowic. – Zawsze gdy mamy jakieś wątpliwości, należy się odwołać do tego, jak zwierzę zachowuje się w środowisku. I to podpowiadamy wszystkim hodowcom: natura jest naszą nauczycielką.

Podstawą są odpowiednie wilgotność i temperatura. Dotyczy to zarówno reproduktorów, które rozmnażają się na hali i muszą mieć tropikalne warunki, jak i jaj, które też potrzebują odpowiednich warunków do wykluwania.

– Ślimak składa jaja pod ziemią, w ciemności i przy dużej wilgoci – opowiadają hodowcy. – Wysoka temperatura w ciągu dnia powoduje rozpoczęcie procesu wylęgania młodych. I naszym zadaniem jest to kopiować.

W Oldrzychowicach mamy najpopularniejszy wśród europejskich hodowców gatunek ślimaka afrykańskiego – *Helix aspersa*. Można powiedzieć, że jest już zeuropeizowany, choć w Polsce w naturze zimy nie byłby w stanie przeżyć. Ma to swoje dobre strony, bo obcy w naszym ekosystemie gatunek – nawet gdyby uciekł z fermy – nie stanowi żadnego zagrożenia dla rodzimych ślimaków: nie może być dla nich ani konkurentem pokarmowym, ani roznosicielem chorób.

Hodowla bez dopingu

Przedsiębiorcy starają się też, żeby powodów do zmartwień nie mieli amatorzy ślimaczego mięsa.

– Nasza hodowla ma charakter ekologiczny. Używamy wprawdzie paszy, ale powstaje ona specjalnie na nasze zlecenie, według naszej zastrzeżonej receptury opierającej się na składnikach zbożowych. Ślimaki naprawdę są dobrze karmione – podkreśla Ewa Burdykiewicz. – Nie stosujemy żadnych hormonów, żadnych promotorów wzrostu czy antybiotyków, czyli tego, od czego nie jest wolna produkcja przemysłowa innego rodzaju mięsa. Pod tym względem wychodzimy naprzeciw proekologicznym trendom i możemy się podpisać obiema rękami, że ma-

Ślimak, ślimak, wystaw rogi

53 →

my naprawdę bardzo zdrowe i naturalne mięso.

Sama pasza jest specjalnie przygotowana w jednym z zakładów wytwórczych: musi być odpowiednio zmielona i przyswajalna dla ślimaków, bo niewielki mięczak nie poradzi sobie z dużym kawałkiem ziarna, niezmielonym na pył.

Afrykański ślimak w polskich hodowlach jest odpowiedzią na brak rodzimego winniczka.

– Dla zbieraczy winniczka ceny skupu są zbyt niskie, ponadto są okresy wyznaczone na zbieranie tego ślimaka, nic więc dziwnego, że pojawiło się zapotrzebowanie na afrykański gatunek – tłumaczą hodowcy. – A co za tym idzie, bardzo wzrosło zainteresowanie w Polsce hodowlą ślimaków. W ciągu tych trzech lat mieliśmy już styczność z ponad setką ludzi, którzy nas odwiedzili na fermie z założeniem, że oni również chcą hodować ślimaki.

Właściciele opolskiej fermy są otwarci na tę współpracę, stając się dla mniejszych hodowców doradcami, a potem pośrednikami w sprzedaży.

– Rynek europejski jest otwarty na współpracę tylko z większymi gospodarstwami, o charakterze przemysłowym. Indywidualny hodowca nie poradzi sobie na nim, dlatego potrzebne jest połączenie sił – dodaje Ewa Burdykiewicz.

Odbiorcy są już nie tylko we Francji, ale na całym świecie, dlatego Helixia wysyła swoje ślimaki i na zachód, i na wschód, i na południe, bo znaleźli się też kontrahenci z Czech czy Włoch.

– Sprzedaje się tam, gdzie się tylko da, choć zawsze na końcu tego handlowego łańcucha występuje Francuz – śmieje się Robert Nabrdalik. – Nawet jak wysyłamy nasz towar na rynki wschodnie, to i tak się okazuje, że ktoś, kto stoi za tymi transakcjami, jest pochodzenia francuskiego.

Polski rynek dopiero raczkuje.

– Dlatego mamy aspiracje, żeby stworzyć produkt w postaci puszek z mięsem ślimaka – mówią hodowcy. – Zrobiliśmy już taki eksperyment i wyprodukowaliśmy w porozumieniu z jednym zakładów przetwórczych w Polsce kilka tysięcy puszek. Prezentujemy je na targach, pokazach i rozpowszechniamy w sieciach ekskluzywnych delikatesów.

JAROSŁAW STAŚKIEWICZ

Nowosielski tuszuje Starowieyskiego



Nr 29 (13 – 19 VII). Cena 4,90 zł

Sędzia Trybunału Stanu, ten, który wygrał w Strasburgu z Rosją wojnę o Katyń, pogromca Kwaśniewskiego w sprawie Ałganowa – znokautowany.

Moje życie sen wariata nie rozumiem tego świata. A było tak.

W roku 2005 dziennikarze TVN zorganizowali prowokację. Zlecieli namalowanie obrazu Franciszka Starowieyskiego (malarza) rumuńskiemu artyście Bogdanowi Achimescu. Znaczy Achimescu miał namalować tak, jakby to zrobił Starowieyski. Falszercz przed obiektywami kamer wywiązał się z zadania. Jego obraz był nieudolny w opinii Starowieyskiego, któremu ów falsyfikat okazano. Starowieyski utrzymywał, że jest to falszerska próba zupełnie do bani i nikt się na to barachło nie nabierze. Dziennikarze jednak byli uparci. Udali się do domu aukcyjnego Polswiss Art Iwony Büchner w Warszawie, aby w ramach prowokacji dziennikarskiej falsyfikat sprzedać na publicznej aukcji. Autentyczność obrazu oceniło małżeństwo historyków sztuki Łukasz i Irena Kossowscy, którzy napisali tekst do katalogu. Wynikało z niego, że dzieło nienamalowane przez Starowieyskiego namalował Starowieyski. Obraz mianowano „Zjawą” i wystawiono jako autentyczne dzieło Starowieyskiego.

Aby nie podpaść pod kodeks karny, dziennikarze TVN sami wylicytowali własny obraz, płacąc za niego 9500 zł. Miesiąc później nabywca udał się do ekspertów Kossowskich, gdyż wykrył, że obraz ma inną datę niż ta na wystawionym przez nich certyfikacie autentyczności. Na fałsie było „95”, a na certyfikacie „59”. Eksperci Kossowscy błąd poprawili, wystawili drugi certyfikat. Dziennikarze wszystko filmowali kamerą ukrytą pod pachą.

W końcu poleźli do Łukasza Kossowskiego znowu, tym razem mówiąc, że dopuścić do aukcji podłożonego przez nich fałsa i co on o tym myśli? Ekspert nie był specjalnie zaskoczony. Rzekł był – co widać na filmie – „jeden zero dla was, wpuściliście mnie w malinę”.*

Wydawać by się mogło,

że po takiej kompromitacji, którą obejrzały w telewizji 3 miliony ludzi, małżeństwo Kossowskich przestanie udawać, że zna się na malarstwie, a dom aukcyjny Polswiss Art przestanie istnieć, choćby z powodu utraty zaufania klientów. Tak się nie stało. Po-

żytek z zabawy był taki, że za reportaż „Zjawą” red. Jarosław Jabrzyk z TVN dostał nagrody Prezesa Krajowej Izby Gospodarczej oraz Krajowej Kapituły Dziennikarzy „Willa Decjusza”.

Wydawałoby się również, że pan Kossowski, człowiek z patentem doktora i pracownik państwowego muzeum, jeżeli miałby mieć jakieś pretensje, to najwyżej do dziennikarzy TVN, którzy poddali go dziennikarskiej prowokacji. Mógłby iść przeciw telewizji do sądu w związku z oszustwem jej pracowników, w wyniku którego ucierpiała jego pozycja zawodowa i utracił np. dochody, bo szefostwo Polswiss Art wylało go na zbity pysk. Proces pewnie obracałby się wokół kwestii, kto ponosi większą winę – oszukujący czy oszukiwany – i czy ktoś mający z zasady zapobiegać oszustwom może mieć pretensje do oszusta. Do takiego ciekawego przewodu sądowego jednak nie doszło.

Sprawę prowokacji opisał w specjalistycznym czasopiśmie adresowanym do kolekcjonerów sztuki „Art & Business” red. Janusz Miliszkiwicz. Napisał felieton „mein kampf” w cyklu „Masońskie wersety”, gdzie jego samego widać na zdjęciu w stroju masona. Miliszkiwicz pisał o tym, co i tak widzieli widzowie. Domagał się, żeby powstał oficjalny zawód eksperta dzieł sztuki. Utrzymywał też, że pomyłka pana Kossowskiego nie była odosobniona.

Ekspert Kossowski, gdy przeczytał ów felieton adresowany do 2 tysięcy czytelników, bardziej się oburzył niż wtedy, gdy oglądał wraz z 3-milionową publiką film o tym, jak sam z siebie zrobił wiatrak. Pozwał Miliszkiwicza o naruszenie dóbr osobistych. W ramach rekompensaty zażądał przeproszenia go w „Art & Business” oraz w najwyższym czasie oglądalności na kanale TVN. O ile żądanie przeproszenia w magazynie mogło mieć jeszcze jakieś uzasadnienie, o tyle żądanie przeproszenia go przez felietonistę w TVN w czasie najwyższej oglądalności było wyssane z dupy. Choćby dlatego, że żadnego dziennikarza w Polsce nie stać, a i pewnie mało kogo w ogóle nie stać, na publikację przeprosin według cennika reklamowego TVN.

Na chłopski rozum

pozew eksperta Łukasza Kossowskiego nie powinien być przyjęty przez sąd, albowiem:

- fałszerstwo było ewidentne,
- ekspert przyznał się publicznie do błędu,
- Miliszkiwicz napisał prawdę,
- Kossowski stwierdził też w jakimś oficjalnym liście, że z biedy nie stać go na wynajęcie adwokata, pozew więc

nie wchodzi w grę.

A jednak stało się inaczej. W dodatku nagle nasz bidulek Kossowski, którego nie stać było na adwokata, przychodzi w asyście jednego z najdroższych adwokatów w tym kraju, mec. Romana Nowosielskiego.

Roman Nowosielski to człowiek zdroworozsądkowy

i potrafi odróżnić słuszość od jej braku, dobro od niedobra. Jest on bowiem sędzią Trybunału Stanu uhonorowanym nagrodą Złoty Paragraf dla najlepszej papugi w Polsce oraz odznaczony przez prezydenta Srebrnym Krzyżem Zasługi. Tenże adwokat Nowosielski (nie mylić z malarzem Jerzym Nowosielskim), którego prawna i etyczna intuicja powinna być bezbłędna, umacnia Kossowskiego niewyrażniej w przekonaniu, że Kossowski ze swoimi głupimi pretensjami ma rację. Dobra osobiste eksperta zostały naruszone, a obraz był autentyczny. Na rozprawie zeznają kolejno:

- fałszerz, który stanowczo utrzymuje, że obraz sfalszował,
- sługa boży (obecnie) Franciszek Starowieyski, który twierdzi, że obrazu nie namalował.
- dziennikarze stacji TVN, którzy przyznali, że hecę zmontowali i opłacili fałszerza.

Prezentowany jest ten sam film, który pokazywano w TVN i który do dziś wisi w internecie. Z filmu wynika, kto sfalszował obraz, jak tego dokonano i że Kossowski przyznaje się do błędu.

Wydawać by się mogło, że są to wystarczające powody, aby sprawę zakończyć. Tak się jednak nie dzieje.

Strona powodowa obstaje

przy tym, że obraz był autentyczny, a Kossowski się nie pomylił.

Po pierwsze, dlatego że np. Salvador Dali sprzedawał swoje czyste płótna tylko z własną sygnaturą, na których nabywca mógł namalować, co mu się żywnie podobało, i takie obrazy uchodzą za autentyczne dzieła Dalego. Za autentyczne uchodzą też obrazy, które nie były przez Dalego w ogóle namalowane, ale ten postsygnował je, dodając adnotację „ja twierdzą, że to moje dzieło, a kto uważa, że jest inaczej, niech to udowodni”. Obraz może być więc autentyczny nawet wtedy, gdy jest fałszywy.

Po drugie, dlatego że w pracowniach mistrzów flamandzkich często było tak, że obrazy malowali czeladnicy. Mistrz wykańczał tylko drobiazgi oraz kładł podpis i obrazy uznawane są za autentyczne.

Po trzecie, bywało też tak, że twór-

cy błędnie rozpoznawali falsyfikaty jako swoje własne dzieła i poświadczali ich autentyczność przez postsygnowanie, np. Pablo Picasso czy Giorgio de Chirico. Dzieła takie też uchodzą za autentyczne.

Kossowski powołuje na świadka profesora Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu Marcina Berdyszaka. Ten wielki uczony stwierdza przed warszawskim sądem, że „Zjawa” nie jest falsyfikatem, bo nie jest falsyfikatem i już. Na pytania pozwanego Miliszkiwicza i jego adwokata Przemysława Balasińskiego, czy widział sam falsyfiikat, czy rozmawiał z fałszerzem Achimescu, czy cokolwiek wie o sprawie, Berdyszak odpowiedział, że nic nie wie. A sprawę zna tylko z listu Kossowskiego i jego adwokata.

Wreszcie profesor Maria Poprzęcka, wówczas prezeska Stowarzyszenia Historyków Sztuki, w mailu napisanym do eksperta Kossowskiego ze swojego służbowego uniwersyteckiego adresu poczty elektronicznej twierdzi, że „Zjawa” nie jest falsyfikatem, Kossowski załączył więc jej list do akt sądowych i zgłosił Poprzęcką na świadka. Niestety, adwokat Miliszkiwicza Poprzęcką jako świadka odwalił, czego Miliszkiwicz szczerze dziś żałuje, bo wtedy cyrk byłby jeszcze większy.

Nieoczekiwanie bowiem prof. Poprzęcka w maju zeszłego roku w liście do „Art & Business” stanowczo zaprzeczyła, jakoby kiedykolwiek miała wysłać mail do eksperta Kossowskiego z sugestią, że „Zjawa” jest prawdziwa – i ona chce w tej sprawie zeznawać przed sądem. W liście stwierdza też, że gdyby to ona pisała, z pewnością jako polska profesor uczona zwyczajna nie popełniłaby błędów ortograficznych w nazwisku Starowieyskiego, choć go nie lubi.

Wychodzi na to, że dowód na swoją rację, który Kossowski przedstawił wysokiemu sądowi, też był fałszywy. Fałszowanie dowodów jest w Polsce przestępstwem, Miliszkiwicz skierował więc sprawę do prokuratury, aby wyjaśniła, kto sfalszowanego maila do Kossowskiego napisał w imieniu Poprzęckiej. Prokuratura od roku sprawę bada niezwykle intensywnie.

Kossowski zarzucił Miliszkiwiczowi antysemityzm,

bo tak odczytał tytuł jego felietonu, i że skierowany jest specjalnie przeciwko jego byłej szefowej antykwariuszce Iwone Büchner, właścicielce Polswiss Art, ponieważ ona pochodzi bez wątpienia z Narodu Wybranego. Ujawnił tym samym pochodzenie Büchnerowej, które wcześniej nie było znane w eleganckim świecie Konstancina, bo tam mówiło się, że najwyższą jest Kaszubką, jak nasz pan premier.

Miliszkiwicz wyjaśnił wysokiemu sądowi poprzez okazanie dowodów, że przez lata był publicystą takich periodyków jak „Midrasz” i „Folks-sztyme”, gdzie jego nazwisko widniało obok takich Żydów, jak Michnik i Szewach Weiss. Zarzucanie mu więc antysemityzmu jest bezrozumne. Tym bardziej że w felietonie wprost wyjaśnia tytuł i pyta: o co walczyć? I odpowiada: żeby powstał zawód eksperta. Tak więc tytuł „mein kampf” (napisane

je. Miliszkiwicz wygrał dwa razy przez nokaut.

Portale internetowe skandują na cześć zwycięstwa Miliszkiwicza, prospołecznej roli prasy i bez ogródek jeżdżą po Kossowskim jako ambasadorze profesjonalnej niekompetencji, obwołując jego mecenasa obrońcą złej sprawy.

Spotkałem się z red. Januszem Miliszkiwiczem. Jak na zwycięzcę był raczej w minorowym nastroju, dokonał bowiem smutnego bilansu:

du wszelkie inne koszty powinienem ponieść we własnym zakresie.

– Czy pan dr Łukasz Kossowski zapłacił mecenasowi Nowosielskiemu? Na to nie starczyłoby mu pensji z posady w państwowym Muzeum Literatury – gdzie obecnie jest zatrudniony. Jak niesie płota, Nowosielskiego fundował dom aukcyjny Polswiss Art, dla którego proces był walką o prestiż i dobre imię, która została przegrana.

– **Przez 7 lat, mimo nagonki prasowej, państwo w praktyce nie zrobiło nic, żeby ucywilizować polski rynek dzieł sztuki. Rzeczoznawcy za pieniądze są w stanie certyfikować i potwierdzić autentyczność każdego bohomazu.**

Wystawienie fałszywego świadectwa jest praktycznie bezkarne. Niektóre domy aukcyjne udają, że w te ekspertyzy wierzą, bo to pozwala im zarabiać na falsyfikatach.

Jak ekspert się stawia, zmieniają eksperta. Proceder jest bezkarny. Nabywcy lewizny nawet jak się przekonają, że wpuszczono ich w kanał, udają, że nic się nie stało. Pozwala im to po cichu sprzedawać falsyfikat po dobrej cenie. Nie wychodzą na frajerów. Spirala hipokryzji trwa.

– W gruncie rzeczy wygrałem, ale przegrałem...

Ponieważ w przeciwieństwie do Miliszkiwicza jestem z natury optymistą, uważam, że z tej sprawy wyciągnąć trzeba pozytywne wnioski. Jak widać w tej historii lipę wstawili dziennikarze, lipę wstawił fałszerz, lipę wstawił dom aukcyjny, lipę wstawiali świadkowie eksperta, lipę wstawił mecenas. Lipę uprawiał artysta, lipę odstawił sąd, prawo jest lipne i obraz był lipny. No a malarstwo i sztuka to też generalnie lipa, bo ukazują rzeczy, które tak naprawdę nie istnieją.

Czy w kraju, nad którym powietrze lipą jest przesiąknięte, skażone i podszycie, nie powinniśmy zajmować się tylko i wyłącznie produkcją falsyfikatów? Zrobmy z tego narodową specjalność.

ROBERT JARUGA

* Genezę dziennikarskiej prowokacji w różnych aspektach i bardziej konkretnie opisałem w artykule „Jeleń na aukcji”, który ukazał się 5 lat temu w „NIE” nr 24/2007.

** Według artykułu nadkomisarz Joanny Piotrowskiej „Rybak z siecią – prawdziwy czy fałszywy”, który ukazał się w pracy zbiorowej Narodowego Instytutu Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów pt. „Problematyka autentyczności dzieł sztuki na polskim rynku (...)” badanie tylko sygnatury obrazu to ok. 458 roboczogodzin pracy ekspertów w warunkach laboratoryjnych. Wyceniając koszt roboczogodziny eksperta na 50 zł – wychodzi prawie 23 tys. zł.



Franciszek Starowieyski nie przyznał się do autorstwa tego obrazu. Ekspertsi uznali jednak, że jest to jego dzieło Fot. archiwum

specjalnie małą literą) oznacza walkę tylko z ekspertami tak niechlujnymi jak Irena i Łukasz Kossowscy.

Spór w sądzie pierwszej instancji toczył się 6 lat.

W pierwszej instancji okazuje się, że to jednak Miliszkiwicz ma rację, a Kossowski i adwokat Nowosielski jej nie mają. Kossowskiego i Nowosielskiego to jednak nie przekonuje – piszą apelację. W apelacji sprawa leży rok. Sąd apelacyjny nie znajdując uchybień w procesowaniu sądu pierwszej instancji i wyrok podtrzymu-

je. – 7 lat procesu to kilkadziesiąt wokand. Koszty ponosiłem z własnej kieszeni, ponieważ zostałem pozwany ja, a nie miesięcznik, który moje felietony drukuje od lat. Nie wiem, ile dokładnie to było przez cały ten okres, ale 30 tyśiaków na koncie mi brakuje!

– Sąd przesłuchał kilkadziesiąciu świadków i zlecił sprawę biegłej sądowej.** Nie wiem, ile to kosztowało. Zapłaci pewnie skarb państwa, czyli wszyscy podatnicy, w tym ja także.

– Sąd zasądził na moją korzyść od Łukasza Kossowskiego za to, że ten przez 7 lat sargał mnie bez słuszności po sądach, 270 zł. Zdaniem są-